

Wielopolski 2. - D. JW. St. hr. Tarnowskiego

Wisniewski

Do

JW. Stanisława Hr. Tarnowskiego

Zygmunt Wielopolski M. M.

KRAKÓW

1879.

Do

JW. Stanisława Hr. Tarnowskiego

Zygmunt Wielopolski M. M.

KRAKÓW
1879.



D-27/91

11/10-51

Hh



125194



Dś. 3984

D. 13/83/32

NAKŁADEM AUTORA.

W Drukarni „CZASU” POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

Jaśnie Wielmożny Hrabio!

Wobec zlej wiary, kłamstw i zdrożności, właściwych u nas radykalnemu kierunkowi, wobec śmiesznych pretensyj do ojcostwa reform z roku 1861 w Królestwie Polskiem, wobec chorobliwych i potwareczych artykułów o Ojcu mym po gazetach pisanych, milczałem, gdyż w tem wszystkim nie widziałem materyału do sądu historyi o epoce i ludziach z lat 1861 do 1864.

Pierwszy Henryk Lisicki śmiał wypowiedzieć prawdę o tej epoce. Zarzucają mu niektórzy, że jest stronnym; ale jakże sądzić ludzi i zasady, jeżeli nie potępiając jednych a przyklaskując drugim; zarzucają mu bezwzględność, lecz jakaż ma być prawda dziejowa, jeżeli historia ma być nauczającą? Że prawda taka wielom w niesmak poszła, nie dziwi mnie pośród społeczeństwa, ściśle związanego w cechy wzajemnej admiracyi i chrześcijańskiego miłosierdzia — nie dla bliźnich, ale dla siebie i swoich działań.

Na zapytanie: czy tyle dla nas ważną prawdę historyczną godzi się poświęcać średniowiecznemu duchowi cechu, sądzę, że JW. Pan stanowczo przeczącą udzieliłbyś odpowiedź; dlatego też po przeczytaniu artykułu

w *Przeglądzie Polskim* z listopada r. b.: Henryka Lisickiego Aleksander Wielopolski, napisać do Niego umyśliłem.

Nie roszczę bynajmniej pretensyi do pisarstwa i za-
rozumiałem piórem na krytykę krytyki JW. Pana nie
targnę się; ani też stanę w obronie p. Lisickiego, gdyż
on to lepiej odemnie uczynić potrafi, jeżeli uzna za sto-
sowne; lecz sprostowaniem wypadków, dobrze mnie jako
naocznemu świadkowi znanych, a które JW. Panu myl-
nie się przedstawiają lub fałszywie podane Mu być mogły,
radbym przyczynić się do wyświeatlenia prawdy. Zamknę
się też, o ile zdołam, ściśle w ramy niektórych faktów
przez JW. Pana wzmiankowanych, a o których powie-
dzieć mi wolno *quorum pars magna fui*.

Na str. 155 zarzucasz JW. Pan P. Lisickiemu
jakoby mylnie twierdzenie, że emigracja jeszcze przed
wypadkami Margrabiemu była niechętną.

Pamiętam, że bawiąc z Ojcem w Paryżu w r. 1850,
z każdego widzenia się naszego z ówczesnymi przywódcami
emigracyi, a mówię tu o stronnictwie hotelu Lam-
bert, z toku rozmów, jakich sprawy ojcyste były przed-
miotem, wynosiłem wrażenie, że to element ojcu memu
i jego poglądom wrogi. Zrażał tych panów niepomału
zamiar mój wstąpienia do wojska rosyjskiego; zdumie-
wali się, zdawali się nie rozumieć, poczytywać sobie
za ujmę, Ojczyźnie za krzywdę, za wyłamywanie się
z pod patryotycznej subordynacyi, każde dążenie do po-
prawy losów kraju na innej drodze, aniżeli podług ukła-
danej przez nich politycznej kolejki. Pojąć nie mogli,
że kraj bez nich obchodzić się może, obchodzić się musi.

Takie z ich strony uczucie było zresztą natural-
nem. Politycznego bytu emigracyi początkiem i wątkiem
była rewolucya, kiedy wyrzeczenie się wszelkiego ruchu
rewolucyjnego było alfą wszelkiej poprawy losów kraju,
opierającej się na szczerem pogodzeniu z Rosyą.

W kwestyi włościańskiej (str. 159) Margrabia i To-
masz Potocki, zarówno potępiając pańszczyzniany sto-
sunek, różnili się radykalnie co do sposobu wyjścia
z onego: Margrabia chciał długoletniej dzierżawy, To-
masz Potocki dążył do uwłaszczenia.

Narady i uchwały Towarzystwa Rolniczego w kwe-
styj włościańskiej fatalny wywarły wpływ i na najbliż-
sze niemal równoczesne wypadki i na dalsze koleje
tej kwestyi.

Tak zwany Rząd Narodowy, czy z własnego po-
mysłu, czy też nie chcąc w szczodrośliwości swej po-
zostać poza hojnością panów dla włościan, nadał im
własność. Po przytłumieniu powstania, Rząd Rosyjski
znalazł się w konieczności faktycznemu uwłaszczeniu
jak najszersze nadać ramy legalne; Mikołaj Milutyn
zaś dowodził, że w likwidacyi trzymał się zasad przez
Towarzystwo Rolnicze postawionych.

Nie sądzę, by Margrabia czemkolwiek przyczynił
się do wprawienia kraj w stan nerwowy (str. 163). Jeżeli
Margrabia zupełnie nieznanym był w kraju, jak sam
JW. Pan mówisz, jakże mógł kraj zaagitować? Lecz
przypuszczając, że tak dalece nieznanym nie był, jak
legenda mieć chce, ile razy to jej widokom odpowiada,
nie należał on do Towarzystwa Rolniczego, w którym
w owej chwili skupiało się życie publiczne, i w kon-
spiratorskich schadzkach żadnego nie brał udziału.

Projekt jego adresu, aż do chwili odczytania go na walnem zebraniu adresowem u p. Andrzeja Zamoy-skiego, poufnie tylko czytany był i to pojedynczo wcale nielicznym osobom, z któremi Margrabia miał bliższą znajomość; nie mógł więc na stan umysłów Warszawy oddziaływać, a to tem bardziej, że adres ten limitując dążenia ówczesnego ruchu i do pewnych instytucyj i do stałych granic geograficznych i politycznych, ogólnemu nastrojowi zadość nie czynił. Ci sami, którzy przed zjazdem Margrabiego do Warszawy pochwalali zasadniczą myśl jego adresu, o czem dalej, czyż nie chcieli wywracać pomnika na Saskim placu, wystawionego na pamięć tych właśnie, którzy polegli w obronie konstytucyjnego Królestwa Polskiego.

Mogę upewnić JW. Pana, że przyjaciele, o których wspominasz na str. 164, już wtedy Margrabiego byli odstąpili.

Sekretarz Stanu Karnicki adresu do Petersburga podobno nie woził, jak to podaje str. 167; prawdopodobnie i legenda o okolicznościach towarzyszących takiemu pobytowi w Petersburgu nie jest ścisłą. Lecz mniejsza o to.

Mam nawet powód sądzić, iż błędem jest mniemanie, jakoby w Petersburgu,—gdzie mężom stanu rozum politycznego odmawiać nie można,—adres z aspiracyami nieograniczonemi lepiej miał być widziany, niż adres stawiający pewne żądania, ale zarazem kładący stałą granicę nieograniczonym zachciankom ówczesnego ruchu.

Wnikając dziś w filiację wypadków, można mniemać, że odrzucenie adresu Margrabiego, na tradycyi

politycznej opartego, a podanie adresu z nieograniczonemi aspiracyami, z ruchu ulicznego wyrosłego, stało się podstawą dalszych bezdennych konwulsyj. Naród nie mówił, czego chce, gdzie idzie; nie wyrzekli zań tego ci, którzy rolę przewodników na siebie przyjęli; nieświadomy więc naród szedł, gdzie go popychali własni i obcy nieprzyjaciele wszelkiego stałego u nas porządku. Naród temu nie winien, bo narody czują, nie myślą; Margrabia nie winien, bo z pierwszą chwilą jego publicznego wystąpienia wiedział i powiedział, powtarzał i czynem dowodził, jak idzie, gdzie idzie i gdzie prowadzi; są i dziś jeszcze tacy, którzy się skarżą, że Margrabia publicznie, na cztery wiatry, nie odbywał przynajmniej co drugi dzień spowiedzi powszechnej; lecz pozwól mi JW. Pan o nich milczeć i Ciebie do nich nie policzyć. Twierdzę dalej, że Rząd także nie winien, bo od pierwszej chwili uznaje potrzebę reform i czynnie się do nich zabiera.

Niechaj się wolno będzie zapytać, któż więc winien? bo jużcić zmarnowanie bytu narodowego kilku-milionowej ludności nie należy do tych lekkich przewinień, na które chrześcijańskie miłosierdzie pozwala przymrużyć oczy.

Mówiąc o rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego (str. 177), przypuszczasz JW. Pan, że mogło ono nastąpić za wspólnem porozumieniem. Miałaby uwaga JW. Pana zupełną rację bytu, gdyby w owym czasie zdania osobiste przeważały w Komitecie Towarzystwa Rolniczego, lecz tam rządziła gremialność i solidarność, a może JW. Panu jest wiadomem, że u nas w podobnych wypadkach zawsze najradykałniejsze przeważa zdanie. —

Nie chcę wątpić, że wszyscy na świeczniku Towarzystwa Rolniczego stojący, potrzebę rozwiązania Towarzystwa widzieli jasno, i tylko dziwić się mogę, że tak przygotowanych rozwiązanie z nienacka zaskoczyć mogło.

Margrabia podczas narad nad adresem poznał się był z taktyką komitetową: pojedynczo każdy zgodziwszy się na zasadę, wszelki udział czynny robił zależnym od gremialnej decyzji Komitetu. Jeden z wydatniejszych jego członków, spotkawszy się z Margrabią u wspólnego znajomego, celem dyskusji nad adresem, chociaż mniej grzecznie ale szczerzej postąpił, oświadczając, że solidarność Komitetu nie pozwala mu pojedynczo, bez mandatu, wdawać się w dyskusję sprawy publicznej z obcymi.

Lecz przypuszczam, że Margrabia zaproponowałby Komitetowi rozwiązać Towarzystwo, i że, o czym nie wątpię, Komitet uznałby się niekompetentnym i odesłał Margrabię do ogólnego zebrania — cóż wtedy?

Pamiętam każdą chwilę owych czasów i dziś zachowałem to wrażenie, że żaden kompromis z Komitetem Towarzystwa Rolniczego nie był możliwy, bo już wówczas zdrowe zdania pojedyncze tonęły w solidarności, a nią kierowała jakaś niewidoma potęga, wszelką indywidualność głuszająca.

Lecz ponieważ JW. Panu spodobało bawić się w kazuistykę, idźmy tą drogą dalej. Może się nastreczyć pytanie, dlaczego Margrabia rozwiązał Towarzystwo Rolnicze, zanim nowe instytucje, wszelkich sił umysłowych i dodatnich w kraju potrzebujące, nie otwarły dla nich nowego pola działania. Otóż rozwiązał, bo rozwiązać

musiał, chociaż to bynajmniej z góry nakazaniem mu nie było. Wobec szerzącego się usposobienia po kraju wskutek postanowień i okólników różnych, które burzyły ludność wiejską, nie było ani dnia, ani godziny do stracenia, a to tak dalece, że autor Listu Szlachcica Polskiego truchlał na myśl, że pod rządem, którego jest członkiem, chociaż z innych przyczyn, rzeź galicyjska ponowić się może. Nie był wówczas Margrabia bezpośrednim zwierzchnikiem służby cywilnej w kraju, nie miał władzy nad Towarzystwem Rolniczem, które podlegało Komisji Spraw Wewnętrznych, nie był więc panem tyle niebezpiecznego i zgubnego obrabiania ludu wiejskiego. Rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego czyniło zbytecznymi okólniki o okólnikach, tłómaczenia tłómaczeń, i odrazu umysły po wsiach uspokoiło.

Lecz przypuszczając, że wiadomości a zatem i obawy takie były przesadzone i że całe wzburzenie mogło się ograniczyć na bezrobociu wiejskim, nawet nie ogólnem, zapytuje się: jakieby wówczas było położenie Rządu? Czyżby on mógł egzekwować tabele prestacyjne na chłopie, którego pan prawi o uwłaszczeniu? Zawieszenie *de facto* robocizny przymusowej byłoby wystawiło większą własność na przewrót gospodarski, na który pomimo pięknych mów wcale nie była przygotowana.

Jeszcze tydzień istnienia Towarzystwa Rolniczego przy pomocy powiatowej jego organizacyi, byłby w owej chwili wystarczył do ubezwładnienia na długi czas surdutowej opozycyi; lecz cały bieg sprawy włościańskiej, której rozwiązanie Margrabia zamierzał przeprowadzić bez wstrząśnień ekonomicznych, byłby był zwieczniony.

I później także nastreczają się sposobności podo-

bnego działania; lecz od Margrabiego żądać zaparcia się zasad całego życia, było daremnem.

Takieto były pobudki nakazujące rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego, atoli ponad temi obiektywnemi względami górował wzgląd polityczny.

Wobec Rządu przyjmującego warunki Margrabiego, tenże podwójny zaciągnął obowiązek dobrej wiary politycznej; a gdy istnienie Towarzystwa Rolniczego obok Rządu było niemożliwem, rozwiązanie Towarzystwa stało się żelazną konsekwencją polityczną.

Na str. 180 zestawiony jest Margrabia z Koriolanem Shakespeara wprawdzie, ale zawsze z Koriolanem.

Margrabia do żadnych Wolsków nie przechodzi: zostaje i osiada w Rzymie, gdzie rzymskie zaprowadza szkoły, po rzymsku rzymskie pisze prawa, lud wiejski od poddańczej uwalnia roboty, żydów do życia cywilnego powołuje, Rzymian wszystkich do wspólnej nad dobrem Rzymu wzywa pracy. Margrabiego nie zraża opuszczenie przyjaciół, obelgi współziomków, zapoznanie ogółu; nie zastrasza ani *clamor civium prava iubentium*, ani rewolwer, ani sztylet, ani nawet żonie, dzieciom i wnukom zadana trucizna. Zawistni patrycyusze nie chcą Rzymu ratowanego przez Margrabiego; chcą mieć Rzym podług swych widoków odbudowany, bo im nietylko chodzi o sam Rzym, ile o własne w Rzymie panowanie. Do Brytannów, Gallów, a nawet do tych Danaów, co wnet sprawdzą przysłowie: *timeo Danaos et dona ferentes*, wysyłają patrycyusze swych gońców „zemsty szukać na swój lud znękanym.“ Wyżebrali ją: z południa, z zachodu grzmia pioruny; płonie ówczesny Rzym, lecz runął i Margrabia.

Dramat to straszny, JW. Hrabio, lecz nie dramat Koriolana. Czyż Koriolan mógł rzec z czystem sumieniem: *civis Romanus sum*, a czy w dziejach porozbiorowych Polski jest mąż, który z lepszym aniżeli Margrabia prawem mógłby o sobie powiedzieć: *civis Polonus sum*?

Dla dźwięczności oracyi kłaść domniemany fałsz w usta historyi, nie godzi się. Bodajbym się mylił, ale podobno i dziś są jeszcze tacy, którzyby za zdrajców poczytali nieszczęsnych śmiałków, chcących Rzym odbudować bez pozwolenia owych patrycyuszów. Mogą być bez obawy: *Non bis in idem*, — Epigonów nie będzie.

Na str. 183 twierdzisz JW. Pan, że w owym czasie demonstracye kościelne rozpoczęte nie były. Otóż były rozpoczęte, a co więcej, wiedział Margrabia, że przybytki Pańskie służą za asilium schadzkom konspiracyjnym. Sam o tem przez czysty przypadek miałem sposobność przekonać się.

Ileż to narad, rozmów i przedstawień z biskupami kończyło się na protestacyach łzami rozczulenia skrapianych i marnych obietnicach, które nazajutrz rozbiły się o *non possumus* tak zwanej solidarności narodowej. I wobec tego Margrabia miał schlebować duchowieństwu!

Jakieżże wówczas mogły być rzeczywiste i sprawiedliwe skargi duchowieństwa? Położenie jego w kraju nie było dolegliwem; owszem używało duchowieństwo opieki Rządu i prerogatyw może rozciąglejszych, aniżeli dziś ich używa gdziekolwiek na kuli ziemskiej.

Trudno osądzić, czy sobie większość duchowień-

stwa życzyła reformy wewnętrznej jako koniecznego następstwa zbliżenia z Rzymem; lecz wątpliwości nie ulega, że zawiązanie bezpośredniego stosunku ze Stolicą Apostolską, a w konsekwencji reforma wewnętrzna w ówczesnym Kościele polskim, leżały w interesie Rządu.

Jeżeli nie wskutek knowań emigracyjnych, ciekaw jestem za czyjem staraniem przedsiębrane były w Rzymie u Papieża czynne kroki, przeciwko osobie Margrabiego skierowane? Czyby się nie znaleźli, i to między bliższymi znajomymi JW. Pana, tacy, którzy aż nadto dobrze tych skrytych działań są świadomi i łatwoby powinni własne roboty sobie przypomnieć. Oni także mogliby odpowiedzieć na pytanie stawiane co do Arcybiskupa Felińskiego, a na które ja jeszcze nie odpowiadam.

Na str. 185 powiedziano, że *Czas* nie mógł odgadnąć Margrabiego; po adresie jego chociaż niedoszłym, nawet *Czas*, a zwłaszcza *Czas*, nie potrzebował łamać sobie głowy nad tą zagadką. Co więcej, *Czas* był złej wiary, a to od początku, gdyż tylko w porozumieniu z osobami, które na *Czas* przeważny wywierały wpływ, Margrabia do Warszawy pojechał, adres proponował i wspólnie uradzoną poszedł drogą.

Porozumienie to nastąpiło w następujących okolicznościach. Przed ogólnym zebraniem Towarzystwa Rolniczego pojechałem na wieś do Ojca, wystawiłem mu wrzenie w kraju, parcie podziemne i potrzebę ujęcia w pewne karby ruchu, który ostatecznie zagrażał niebezpieczeństwem zbrojnego powstania. Długo Margrabia opierał się prośbom moim, aby jechał do Warszawy. Cho-

ciaż oddawna przygotowany na chwilę wystąpienia publicznego, lecz zrażony w życiu niejednokrotnie, składał czynność polityczną na innych, mianowicie na pana Andrzeja Zamoyskiego, dla którego miał wielki szacunek, a zdolności jego polityczne przeceniał. Nareszcie przystał Ojciec na myśl moją jechania do Krakowa i obiecał, że jeżeli przywiozę zgodzenie się na jego program kilku osób, które mi wskazał a z którymi łączyły go dawne węzły przyjaźni, pojedzie do Warszawy.

Za powrotem z Krakowa mogłem Ojca sumiennie upewnić, że z liczby osób przezeń wskazanych, te, z którymi widzieć się zdołałem, moje zapatrywania na ogólne położenie kraju dzielą, program Margrabiego przyjąć gotowi, a co więcej, na oznaczony czas staną dla poparcia go w Warszawie.

Otóż przybyli do Warszawy przyjaciele ci znikli jak kamfora, i ani na próbkę ich nie pozostało. Dlaczego? badać nie będę; lecz zaznaczam tutaj, że oni jego, nie on ich odstąpił. Nadmieniam też, że do tych, co się tak ulotnili, nie należał śp. Antoni Helcel.

Po śmierci Ojca pamiętać chcę o jego dla przyjaciół swych stałej przyjaźni; zaś co do wyrządzonej mu odstępstwem ciężkiej krzywdy, niech się z własnym rachują sumieniem.

Otóż za przyjaciółmi powędrował i *Czas*, a oddawna Margrabiego niełaską swą zaszczycający ś.p. Mann, za powrotem swym do redakcyi zastał systematycznie przeciwko Margrabiemu prowadzony kierunek, którego zmienić nie był w stanie, nawet gdyby to odpowiadało jego osobistym usposobieniom.

Twierdzisz JW. Pan na str. 188, że klucz sytuacji, w ową chwilę, nie był w ręku ludności polskiej.

Nasamprzód przeczę w zasadzie, aby kiedykolwiek klucz jakiegokolwiek sytuacji politycznej był w ręku ludności; zostaje on zawsze w ręku kilku a najwięcej kilkunastu osób, które ludność ową prowadzą. Lecz mniejsza o to: biorąc rzeczy bez uprzedzeń, obiektywnie, może się okazać, że klucz ten przecież był w Warszawie.

Rząd przyjmuje adres; postanawia i zapowiada reformy; zleca ich wykonanie Polakowi i hierarchii urzędników polskich, a to takiej jeszcze, którą zdobyli imiona Łęskiego, Enocha, Wołowskiego, Wosińskiego, Gudowskiego, Kretkowskiego, Zielińskiego, Korzeniowskiego, Przysiańskiego, Łaszczyńskiego, Kamionowskiego, Papłońskiego, Solnickiego i tylu innych, nie mówiąc wcale o Grabowskim, Krzywickim, Potockim, Ostrowskim, Dziewanowskim, Mianowskim itd., którzy wkrótce weszli w skład Rządu i tworzących się instytucyj.

Mylnie niektórzy utrzymują, że obawa zagranicy i potrzeba skarżenia względów Zachodu skłoniły Petersburg do przyjęcia takiej podstawy wobec ruchu w Królestwie; że tak nie było, dowiodła później odprawa dana notom identycznym.

Postawa taka Petersburga miała źródło swe w woli Monarszej, żadnej poprawy wszechstronnej losu wszystkich ludów państwa, a wola ta co do nas tak dalece była wydatna, że się odbiła w usposobieniu opinii całej Rosyi. Chwila owa przypominała przypisywane Cesarzowi Mikołajowi słowa, jakoby wyrzeczone do Polaka po rewolucyi 1831: „*Je ne vous en veux pas autant*

de Vous être révoltés contre moi, comme je Vous en veux de me contraindre à ne m'appuyer que sur les autres nations de mon Empire.“

Wszystko to możebne było do naprawienia.

Tymczasem ludność polska ponieważ najlepszym usposobieniem Petersburga, ponieważ reformą, i co dzień, na każdym kroku lży nie tylko Rząd, ale naród rosyjski obraża, bez moralnego współnictwa którego i samowładca staje się bezwładnym.

Negacya i obraza, oto niestety codzienna praca nasza owych dni stanowczych; stanowczych, bo od nich zależała wielka, potężna przyszłość; zależało nie tylko zaufanie Cesarza do Margrabiego, lecz zaufanie w możliwość rządzenia Polakami legalnie polską ręką, zaufanie narodu rosyjskiego do narodu polskiego.

W dalszym wypadków tych nieszczęsnym przebiegu, często Margrabiego położenie jest zachwiane; już pada, lecz zawsze jeszcze stałość Najwyższych sfer w Petersburgu pozwala mu prostować chorągiew autonomii narodowej, aż nareszcie wyżebrana i wykłamaną przez emigracyę w przedpokojach dyplomacyi europejskiej interwencya, Margrabiemu i sprawie całej śmiertelny cios zadaje.

Czy żąda obalenia Margrabiego, tyle wydatna w wystąpieniu na trybunie francuskiej księcia Napoleona, ówczesnego protektora Polski emigracyjnej, — a przyznać trzeba, że go sobie dobrze dobrała, — żebrackiej tej sprawie nie dodawała animuszu, poręczyć zapewne niktby nie śmiał.

Rząd może przebaczyć bunt, nawet tam, gdzie według własnego sumienia zasłużył na wdzięczność, lecz

Monarcha nie może być głuchym na obrazę godności swojego narodu.

Otóż do obrazu godności narodowej Rosji doprowadziła postawa ludności naszej wobec pierwszego zapowiedzenia reform. Komisya Oświecenia, Rada Stanu, Rady Powiatowe, Miejskie etc. są to dla ludności wyrazy bez ducha; dlaczego wyrazy te były bez ducha i dla tych, którzy stali na czele narodu?

Wobec już powiedzianego upada także twierdzenie (str. 189), jakoby Rząd, znalazłszy równowagę przez wstąpienie Margrabiego do składu jego, chciał cofać zapowiedziane reformy. Los Królestwa oddawał on w ręce Polaków; lecz za każdym wybitniejszym objawem niezadowolenia z reform lub też targania się na całość państwa, czyż nie koniecznymi były chwilowa wątpliwość i wahanie się co do trafności przyjętej drogi i wyboru osób.

Intryga, o której wspomina p. Lisicki, a której istnieniu JW. Pan na str. 193 tak kategorycznie przecyzysz, zawiązana za hr. Lamberta, z pewnymi przerwami przewlokła się niemal do ostatnich chwil urzędowania Margrabiego.

Piastowanie jednego urzędu nie przeszkadza bynajmniej staraniu się o inny; owszem jestto zwykła rzecz tych kolej. Mogę sumiennie zapewnić, iż była nawet chwila, gdzie i nowy Naczelnik Rządu Cywilnego był na podorędziu, i znaleźli się amatorowie, którzy teki rozbiierać byli gotowi.

Wiedział Margrabia o tej intrydze, lecz cóż miał,

cóż mógł przeciwko niej legalnie przedsiębrać? i czy było warto?

W czasach spokojniejszych podobna intryga wielką mogłaby być wyrządzić szkodę, lecz w ówczesnych okolicznościach odbiła się ona na położeniu Margrabiego o tyle tylko, że dostarczyła materiału do memoriału a raczej aktu oskarżenia, jakim osłodzone zostały ostatnie dni jego urzędowania.

Domyślać się nie godzi, kto był w położeniu tak kategorycznie w przedmiocie tym JW. Pana oświecić, że aż fałsz p. Lisickiemu zarzucasz, lecz przysłowie mówi: *qui s'excuse, s'accuse*.

Żalu jakiemu JW. Pan na str. 197 dajesz wyraz, że p. Lisicki zbyt zwięźle traktuje pobyt Margrabiego w Petersburgu, ukoić nie mogę, atoli mogę JW. Pana upewnić, że wróżby pod jakimi Margrabia udał się do Petersburga były tego rodzaju, że po jego tamże pobycie, raczej wszystkiego można było się spodziewać, tylko nie zwycięstwa nad przeciwnymi prądami. Chwila wyjazdu Margrabiego była jedyną, w której zdrowy instynkt Warszawy wziął górę nad wyrokami niewidomych potęg na Margrabiego; przepraszam, nie jedyną, bo druga taka chwila zajaśniała po proskrypcyi, lecz o tem później.

Uderzającą jest atoli rażąca jedna sprzeczność. Ten sam Margrabia, którego wszysej niemal piszący w Polsce, idąc za raz danem hasłem, oskarżają o pychę, nieprzystępnosć i niemal o brak wychowania, a to tak dalece, że przywarom takim niepowodzenie jego



przypisują, staje się raptem w Petersburgu prawdziwym czarnoksiężnikiem. Najznakomitsi dyplomaci Europy, najwytworniejsze dwory i stolice, a to różnemi czasy i w różnych okolicznościach, znajdują Margrabiego dobrze wychowanym, przystępnym, pycha jego nikogo nie zraża: w Petersburgu z przeciwnikami politycznymi na radzie za bary się wodząc, zyskuje on sobie osobisty szacunek i uznanie wszystkich, oprócz ś. p. Tymowskiego.

Jakże to stać się mogło, że człowiek zyskujący sobie prawdziwych przyjaciół w sędziwym Błudowie, w Meyendorfie, Napierze, Fournierze, skarbiący sobie osobiste uznanie Gorczakowów, Wałujewa, Bismarka, Thuna, Orłowa, że ten sam Margrabia, skoro układa warunki bytu polskiego dla Polski i w życie je wprowadza, z dnia na dzień utracą wszelkie położenie osobiste w kraju, jakie wbrew przyjętej legendzie o wiejskiej kryjówce niezaprzeczenie posiadał, utracą z dnia na dzień trzydziestoletnich przyjaciół?

Jakoś mi się widzi, że zagadki tej rozwiązania szukać trzeba nie w Margrabim, nie w jego postępowaniu, ani też w jego dziełach. I to że Margrabia w kraju nie należał do żadnego cechu, do żadnej konfraterni, jednym słowem że nie był naszym w całym tego wyrazu znaczeniu, rzeczy jeszcze nie tłumaczy.

Aby dojść rozwiązania zagadki tej, trzeba się otrząść z wpływu wszystkich tych legend o Margrabim, które posiane na bujnym gruncie zsolidaryzowanych w winie miłości własnych, wydały drzewo,

którego cień głaszy prawdę. Rozbiór taki przekracza granice niniejszego listu, lecz *sapienti sat*.

Mylnie dalej sądzisz JW. Pan, że w lutym 1861 r. manifestacje były popędowe, mimowolne uczucia. Do żadnego spisku nie należałem, wtajemniczony nie byłem, wiedziałem tylko to, co wiedzieli wszyscy, a przecież wiedziałem często tygodniami naprzód, a to od chwili pogrzebu jen. Sowińskiej, gdzie i jak się zamani festują mimowolne uczucia. Tem właśnie przekonałem Ojca w Chrobrzu, w Krakowie tamiecznych jego przyjaciół, o potrzebie zachamowania ruchu.

Miedzy zapatrywaniem się naszym, to jest mego Ojca i jego otoczenia, na taki stan rzeczy, a zapatrywaniem tych których anticipando nazwę Białymi, ta zachodziła różnica, że kiedyśmy przewidywali ruch powstańczy jako konieczny wynik wrzenia, jeżeli się je nie pohamuje, — oni bawili się z ogniem jak dzieci, lubowali się potęgą bezbronnej rewolucyi; młodzieży która się ma uczyć porządku, porządek publiczny powierzali; nosili żałobę narodową i schlebiali wszystkim owym że tak powiem figlom, za pośrednictwem to których, z ukrycia ruchem kierujący, zwolna z panowaniem swem osławiali, by stopniowo ustalić je nad wszystkimi warstwami społeczeństwa; skoro tego dopięli, figle zmieniają się w sztylet, truciźnę, rewolwer i stryżek, a terroryzm naród cały w otchłań powstania popycha.

Stała to niestety taka polityka naszych konserwatystów: pojedynczo widzą jasno, zbiorowo posłuszni bezimiennemu hasłu, nie tłumią złego w zarodku, dla marnego słowa jedności narodowej łączą się z wywro-

tem; dla pozorów rzecz poświęcając, siebie i kraj na zaturę wiodą.

Ponieważ osobiście prowadziłem całą proskrypcję (str. 204, 205) i całą czynność popisową w Warszawie pod moim odbyła się kierunkiem, upewnić mogę JW. Pana że *Dziennik Powszechny* w tej materii szczerą napisał prawdę. Sam byłem zdumiony, ilu to ludziom z gminu obmierzła była podziemna tyrania, nawet takim którzy w spisku nieco wyższe zajmowali stanowiska.

Dziś jeszcze nie wątpię, że przy sumiennem wykonaniu danych poleceń, organizacja nie byłaby uszła do Kampinowskiej puszczy i proskrypcja byłaby sytuację zbawiła.

Nazajutrz, kiedy zdawało się że zamach przeciwko podziemnej tyranii udał się, przez puste od niejakiemu czasu salony Margrabiego trudno było przecisnąć się. Tego wieczora nawet i żony w domu utrzymać nie potrafiły takich, którzy dawno zapomnieli byli kłaniać się znajomym.

Lecz krótko trwał tryumf rozsądku; wnet go zwałczył nie ślepy patryotyzm, lecz terroryzm: na strach jest jedno tylko lekarstwo, strach większy. Czy takiej broni godziło się użyć Wielkiemu Księżu i Margrabiemu?

Wszelako ostateczne zwicnięcie położenia całego (str. 206), zadanie śmiertelnego ciosu programatowi Margrabiego, a to świadomie, tkwi w notach identycznych, w których skuteczność tylko dobrowolna ślepotą polityczna uwierzyć mogła. Ani Anglia, ani Francja nie mają nad Wisłą bezpośredniego interesu, a sam

udział jednego z podziałowych państw w wystąpieniu dyplomatycznym kazał domyślać się, że sprawa zakończy się na papierze, bodajby nie na pergaminie.

Że taki był sąd ówczesny o notach w Brylowskim pałacu, odwołuję się do tych rzadkich przyjaciół, którzy nie zaparli się byli znajomości ze mną: wiadomość o notach przyjęta została przez nas zapytaniem, czy floty Anglo-francuskie już pod Częstochową podpłynęły?

Lecz raz jeszcze zapuścimy się w kazuistykę. Przypuszczam, że pełna godności odprawa dana przez Petersburg notom identycznym mogła doznać mniej potulnego przyjęcia w Paryżu, Londynie i Wiedniu, aniżeli rzeczywiście doznała. Cóż wtedy? Byłaby nastąpiła walka na drodze dyplomatycznej: z jednej strony stawały mocarstwa interweniujące, z drugiej Rosya i wówczas z nią ściśle związane Prusy a zapewne i Włochy, korzystające z wszelkiej sposobności wmieszania się w europejskie sprawy. Walka taka skończyłaby się na dyplomatycznej robocie, bo chociaż zabawiamy się w przypuszczenia, nie posunę fantazyi politycznej tak dalece, abym mógł mniemać, po doświadczeniach roku 1831 i wojny krymskiej, żeby cała Europa chciała z czystej miłości do Polski pogrążyć się w wojnę, której skutków niktby przewidzieć nie zdołał. W najkorzystniejszym więc razie układy dyplomatyczne zapewniłyby Królestwu, przez drażniący wpływ obcy, to, co z woli Monarchy już osiągało, to, czego chciał, do czego dążył Margrabia.

Niech inni stawiają konkluzę: jaka droga była dla nas zbawienniejsza.

Z zamiłowaniem dramatyczności charakterów przeobrażasz JW. Pan Margrabiego, człowieka niezłomnych

zasad i człowieka czynu, w tragicznego bohatera. Henryk Lisicki skreślił żywot Margrabiego dla pamięci i nauki współziomków, wystawił go takim, jakim go znali wszyscy, z którymi go bliższe łączyły stosunki. JW. Pan robisz z niego bohatera nader dramatycznego, ale w którym trudno mi było własnego poznać ojca. Chciej zatem JW. Pan przebaczyć, jeśli w tym jednym szczególe, powodowany zarówno uczuciem synowskim jako i zamiłowaniem prawdy historycznej, zaprotestuję głośno przeciwko niewątpliwie krasomówczym i efektownym, lecz z faktami tak sprzecznym zarzutom, jakie JW. Pan czynisz Henrykowi Lisickiemu.

Wyznać muszę JW. Panu, i wyznania tego proszę za złe mi nie brać, że w sądach swych o owych czasach, których świadkiem niestety nie byłeś, a na których stronne podania, ból poniesionej straty może JW. Pana czynić szczególnie czułym, robisz na mnie wrażenie przypatrującego się pogorzeli domu ze wszech stron podpalonego, który spokojnie rozprawia nad różnemi systematami sikawek.

Margrabia z toporem w ręku, bo sikawek odmawiają mu różne ówczesne solidarności i wzajemne towarzysztwa, rąbie gdzie tylko płomień wybucha. Jeśli gdzie drzazga draśnie podpalaczy, powstaje na Margrabiego wielka wrzawa nie od Odry do Dźwiny, lecz od Sekwany do Dniepru, a JW. Pan piszesz pod wpływem jeśli nie wrzawy, to wspomnień pojedynczych podpalaczy.

Tymczasem ani Henryk Lisicki, ani JW. Pan nie wykazujecie rzeczywistych błędów Margrabiego, bo temi nie są ani rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, ani proskrypcya, ani przemówienia, ani artykuły *Dziennika*

Powszechnego, ani kapelusze, ani wszystkie legendowe zarzuty po szczególe i razem.

Zbłądził Margrabia w tém, że uwierzył podówczas w dojrzałość polityczną swoich; że mniemał, iż Polak Polaków do dobra Polski z prawem w rękę prowadzić może: a powtarzam, narodu nie winię; narody bowiem nie myślą tylko czują.

Dwoje ludzi zajmowało podówczas wydatniejsze stanowiska w kraju: kiedy Andrzej Zamoyski zacnością i miłością dobra publicznego zasłużył na wziętość, Margrabia olbrzymim rozumem i charakterem stał się potęgą narodową. Ciężki grzech ma na sumieniu ten, kto zawinił iż ci dwaj ludzie rozeszli się w chwili, w której Ojczyzna ich potrzebowała.

Na przywódcę stronnictwa dogodniejszym był Andrzej Zamoyski, dlatego wzięto go za sztandar, a rotę pod tą chorągwią skupione nie tylko same nie dla kraju nie wywalczyły, ale i Margrabiemu nie trwałego zbudować nie przyzwoliły. Dziś rozbitki ich odpowiedzialność własną starają się zepchnąć i na swego chorążego i na Margrabiego.

Zaprawdę lepiej być kozłem ofiarnym jak P. Andrzej Zamoyski; lepiej samemu sobie postawić pomnik, jak Margrabia w II i III tomie dzieła Henryka Lisickiego, aniżeli zmarłych z dobrej odzierać sławy, by siebie w białej niewinności koszulce przekazać potomności.

Jaśnie Wielmożny Panie!

Nie schlebiam sobie, że list mój, o którego wydrukowanie w *Przeglądzie Polskim* upraszać mam zaszczyt, lepszego dozna przyjęcia aniżeli dzieło Henryka

Lisickiego. Pozwól JW. Pan abym tutaj wbrew jego sądom, w imieniu prawdy historycznej, o ile ją znam, w imieniu własnem i całej mej rodziny za dzieło Aleksander Wielopolski złożył hołd wdzięczności Henrykowi Lisickiemu. Jest on poniekąd uczestnikiem życia, które opisuje, gdyż i o nim można z Shakespear'em powiedzieć:

. *our slippery people,*
Whose love is never link'd to the deserwer
Till his deserts are past.

Zbyt silne są jeszcze więzy solidarności, by prawda zwyciężyć już miała, lecz od przedniejszych jest się w prawie jej się spodziewać i żądać jednostajnej sprawiedliwości dla wszystkich.

Z tem przekonaniem łączę wyrazy wysokiego mego dla Jaśnie Wielmożnego Hrabiego szacunku i poważania.

Zygmunt Wielopolski M. M.

Wiedeń

d. 27 listopada 1879.



125194

